Tom VI. Nr. 1.

1. Stycznia 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Powrót wygnańca.

Między owemi krajami, co są pod Moskalem, jest także jeden kraj zwący się *Sybir*, a kraj to pusty i nieurodzajny, bo wieczne tam śniegi leżą i wieczna panuje zima. Aleć Moskalowi bardzo jest przydatna ona kraina pusta, zimna, i gdzieś za światem leżąca, bo jak mu się kto bodaj na włos sprzeciwi, to go każe porwać od ojca i matki, od żony i dzieci, i wiezie tam het, aż w głąb tych śniegów, i tam za karę na wieczne czasy w pustej chałupce osadza.

Oh, ileż tam już naszych rodaków zginęło w tych śniegach z żalu i tęsknoty za rodzinnym krajem! A nie mieli oni ani księdza przy śmierci; ani dziecko własne, ani brat rodzony nie zamykali im oczu; nikt ze swoich nie płakał tam nad wygnańcem, ani nie złożył jego zwłok do trumny gładko wystruganej, nie rzucił bodaj grudki ziemi, tej ziemi najlekszej, rodzinnej! Oh, a iluż tam naszych rodaków zginęło pod pałkami srogiego Moskala, za to tylko, że swojej wiary świętej porzucić nie chcieli!

Ot, patrzcie! Tam w głębi sybirskich śniegów, w trzęsącej się od wiatrów chałupce, siedzi biedny wygnaniec tuląc się od zimna. Siedzi, a ręce oparł na strzelbie i smutno spogląda przed siebie, bo schodził dzień cały i nie ubił żadnego *sobola* na kożuch dla Moskali, więc smutny, bo go będą zato bić i katować!

Westchnął biedny wygnaniec i łzy mu w oczach zabłysły, bo sobie wspomniał na żonę i dzieci i na zagrodę rodzinną:

— Oh, Boże, za cóż mnie tak karzesz! — zawołał żałośnie — Sam nie wiem jak już długo siedzę tu na tej puszczy śnieżnej i bezludnej, a za co? Za to tylko, żem nie chciał odstąpić od świętej wiary moich ojców, żem nie chciał chodzić do ich moskiewskiej cerkwi, żem nie chciał słuchać ich moskiewskiego, brodatego popa! Oh, zbili mię wtedy, żem ledwie został przy życiu, a potem przykuli razem z innymi do sztaby żelaznej i tak pędzili to w prochu to w śniegu, kilkaset mil jak bydło! Jeszcze dziś mam krwawe znaki na rękach od tego ostrego żelaza! Tutaj siedzę samiutki, bez ludzi, cierpię głód i zimno, i chodzę ze strzelbiną na sobole dla Moskali, bo oni jak zwierzęta drapieżne wpadają od czasu do czasu do mojej chałupki, i jak nie mam dla nich sobolej skóry, to biją pałkami. Oh, Boże, za cóż mnie tak karzesz?!

Tak narzekał wygnaniec nieszczęśliwy, i ocierał łzy sznurkiem po twarzy płynące. Smutek, głód i próżne chodzenie za sobolem zmęczyły go bardzo, tak, że prawie sił nie miał podnieść się z ławy; oparł więc głowę o berwiona ściany mchem poutykanej, i tak znużony i płaczący zasnął.

Na świecie była już noc ciemna, bo tam dzień bardzo krótki i także nie jasny. Na szarem niebie błyskała tylko gdzie niegdzie samotna gwiazdka, na ziemi, jakeś tylko daleko okiem mógł zasiągnąć, leżał tylko śnieg szczery, i całe góry śniegu, a wiater mroźny hulał sobie po tych stepach, kurzył w oczy, i niby białe płachty podnosił w górę chmury śniegowe.

Biedny wygnaniec spał chwilę twardo, aż nagle śnić mu się coś poczęło. I ujrzał we śnie jasne słońce, i biały, ciepły dzionek boży, młodem liściem okryte jesiony i kwitnące lipy, i białe brzózki na cmentarzu. Serce w nim uderzyło mocno, bo mu się zdało, że to jakieś swojskie, znajome, więc wytężył

jeszcze bardziej oczy i ujrzał dzwonnicę i nowy dach na cerkwi, i ujrzał ulicę wiejską między rzędem sadów i zagród. A wtedy zdało mu się, że ma skrzydła i że leci tą ulicą, i poznaje, że to jego wieś rodzinna! Tchu mu w piersiach zabrakło, uderzył jeszcze raz skrzydłami, i upadł przed swoją własną zagrodą. Na szum i łomot skrzydeł, wybiegła na próg chaty młoda i żwawa kobieta, to jego żona! Mocny krzyk wyrwał się z jej piersi... I na ten krzyk obudził się nieszczęśliwy, sybirski osadnik.

Zerwał się na równe nogi, i dzikim wzrokiem spoglądnął w koło siebie. Ach, to jego zimna chata w pośród śniegów! Nie chciał temu wierzyć; wybiegł na dwór, i spojrzał w około po ziemi, a świeże łzy stanęły mu w oczach.

— Mój Boże, to sen tylko, taki śliczny! — zająknął nieszczęśliwy, i podniosłszy oczy w górę spoglądał po niebie. Na południu błyszczała jedna gwiazdka, ale tak jasna i miła, i tak niby przyjaźnie mrugała na biednego osadnika, że nie mógł oczów oderwać od niej.

— Może ty mi szczęście przepowiadasz gwiazdeczko mała — pomyślał wygnaniec — może ty mię wabisz tam na południe, gdzie moja wieś rodzinna, żona i dzieci moje! Ha, ten sen mógł być tylko od Boga zesłany, o, ja nie mogę wytrwać tutaj dłużej. Pójdę, ucieknę: może zginę w śniegach, może mię w drodze złapią Moskale i oddam ducha pod ich pałkami.... Lecz cóż mię tu lepszego czeka? Także sromotne pałki, a potem pewna śmierć z tęsknoty!

I biednemu jakoś cieplej zrobiło się w piersiach; nabrał odwagi i otuchy, wrócił do chaty, a wziąwszy strzelbę na ramię, cieplejszy łach na siebie i resztę suchego czarnego chleba, wyszedł napowrót. I tu na dworze, pod ciemnem sklepieniem nieba ukląkł i zmówił cichy pacierz, a zdawszy wszystko na wolę boską, ruszył w świat — uciekł!

Któżby powtórzył jakiemi drogami i ścieżkami, jakiemi lasami i manowcami przechodził biedny wygnaniec! Pan Jezus go prowadził, więc szedł szczęśliwie, i nie wpadł nigdzie w ręce okrutnych Moskali. Czasem tylko, gdy mu głód bardzo dokuczał, to zastukał do jakiej samotnej chaty. Na całym świecie

są źli i dobrzy ludzie; więc jego pan Jezus prowadził zawsze do dobrych, a ci go nakarmili czem tylko było, ogrzali i odziali, i jeszcze na drogę dawali kawał chleba i sera, i wyprowadzali znowu na manowce, żeby nikt nie widział, pokazując stronę, której się ma trzymać. Lecz zimno było wszędzie i śnieg leżał wszędzie, tak, że biedny wygnaniec myślał, iż to wszystko Sybir, i że mu już nigdy nie wyjść z niego! Szedł już bardzo wiele dni i nocy, wysechł jak szczypa od głodu, mrozu i wiatru, a zawsze jeszcze była zima. Tyle go tylko cieszyło, że choć mowę ludzką zaczął lepiej rozumieć, a jak się zapytał gdzie jest, to mu mówili, że na Rusi, ale nazywali przytem różne wsie i miasta, o których wygnaniec nigdy wprzód nie słyszał.

— Ja także jestem Rusin! — mówił on — ale u nas na Rusi nie ma ciągłego śniegu i ciągłej zimy, a to u was mróz i śnieg, zima i zima!

A ludzie odpowiadali mu na to:

— I u nas była wiosna i ciepłe lato, ale teraz zima i ciężka zima, bo to koniec Grudnia!

Więc zasłyszawszy to, ucieszył się bardzo wygnaniec, bo on biedak nawet nie wiedział, jaki to rok i miesiąc, i myślał, że trafi w Rusi na lato. Ucieszył się tem bardzo, a serce mu powiadało, że już niedaleko swoi. Więc z podwójną siłą i z podwójną nadzieją szedł i szedł dalej a ciągle przez bory, i już mu się zdawało, że gdzieś pamięta te lesiste strony, więc jeszcze prędzej, reszty sił dobywał, żeby tylko dojść. Ale nie było gdzieś końca owym borom. Dwa dni i dwie nocy szedł, i nie mógł wyjść z nich, pożywienie wszystko mu już wyszło, mróz i głód coraz bardziej dokuczał. Aż trzeciego dnia nad ranem minął już ostatnie drzewa, a znużony i znękany ledwo że się wlókł dalej. Słońce zeszło jasno i czysto; przed nim rozwidniła się okolica, Boże, jakaś znana! Spogląda po polach, znane mu pola, spogląda po drzewach, znane mu drzewa, i znana mu kopułka cerkiewna co się krzyżykiem z poza drzew wychyla, i znany mu głos dzwonka, co ludzi na nabożeństwo zwołuje. Przeciera sobie oczy wygnaniec i nie chce wierzyć uszom, i patrzy, a to jego wieś rodzinna!

— Wielki Boże, dzięki Tobie! — zawołał radośnie, i zdawało mu się, że będzie mógł lecieć, jak wówczas na Sybirze we śnie, lecz uczuł dopiero wielki ból w opuchniętych nogach i wielką niemoc we wszystkich członkach. I powoli musiał się wlec, i wlókł się jak stary dziad o kiju, a prosto do cerkwi.

Uroczyste nabożeństwo noworoczne sprowadziło pełną cerkiew ludzi; a ci co jeszcze nadążali, ściskali się, i życzyli sobie nowego roku i wiele w nim szczęścia. Ostatni dociągnął się biedny wygnaniec, i weszedł w próg pańskiego przybytku. Lecz jakaż boleść ścisnęła go za serce: moskiewski pop brodaty, moskiewskim trybem odprawiał mszę św. u tego samego ołtarza, u którego on jeszcze swojego księdza i świętą wiarę ojców zapamiętał.

Nie mógł więc wytrzymać w boleści. Krzyknął wielkim głosem, i zwalił się bez zmysłów na ziemię.

Wielki ruch zrobił się między ludźmi w cerkwi: obstąpili go, poznali, i wynieśli na cmentarz. Dzieci rzuciły mu się na piersi, całowały i płakały; a żona płakać i radować się nie mogła, bo już od roku nie żyła!

Omdlałego wygnańca odwieźli ludzie do jego własnej zagrody, a tam okryli ciepło i krzysili. Przyszedł do siebie na chwilę; zamglonym wzrokiem oglądał dzieci i przyciskał do swych piersi, a wreszcie zapytał słabym głosem:

— A gdzież moja żona Hanna?

A sąsiad z łzami w oczach, odrzekł:

— Nie żyje!

— Nie żyje! — zawołał wygnaniec, i ruszył się mocno na łóżku.

— Zdaj to na Boga — pocieszali go ludzie — masz dzieci kwitnące i dobre!

A biedny wygnaniec otworzył wtedy oczy żałośne, i jeszcze słabszym głosem rzekł:

— Nie żyje moja Hanna, i ja za nią idę! Zostawiam was dzieci w opiece Bożej, żyjcie szczęśliwe. Jabym już nie mógł żyć szczęśliwie w tem siole, gdzie ojców świętą wiarę porzucili ludzie. Ja za moją wiarę siedziałem lat dziesięć w lodach i śniegach Sybiru, i z tą samą wiarą pójdę na sąd Boży. Wam,

niech ten ojciec najmiłościwszy przebaczy, a niech surowo osądzi tych, co was na swoją moskiewską wiarę zmusili!

A to powiedziawszy, oddał Bogu ducha wygnaniec nieszczęśliwy śród płaczu dzieci, sąsiadów i całej gromady. A był w tej jego śmierci palec miłosierdzia Bożego, bo cóż byłby on biedny robił zostawszy przy życiu? On uciekł Moskalom z Sybiru, więc nie mógł był zostać w swojej wsi rodzinnej, boby go byli ci okrutnicy złapali i pod pałkami zabili. A cóż, czy miał iść dalej znowu w cudze kraje? Lepiej, że go Bóg zabrał do swej Ojczyzny niebieskiej, bo smutna nam padła dola z Moskalem, iżeśmy niewolnikami na naszej własnej ziemi!

Módlmy się za naszych rodaków, wygnańców na Sybirze, i w innej niewoli moskiewskiej, i za tych co zmarli męczeńską śmiercią, i polecajmy Bogu w modłach ziemię naszą i lud nasz utrapiony!

Na nowy rok.

Smutno sercu, jak jaskółce za zieloną wiosną,
I po twarzy żal się skarzy, a łzy w oczach rosną;
Zimno sercu, jak jaskółce na dnie chłodnej wody,
A nadzieje?... cóż je grzeje, chyba śnieg i lody!....
A czemuż ty roku stary
Takiś nam był zły?
Twoje dary, cierpkie dary:
Smutek, ból i łzy!

Smutna ziemio, a jak tobie w tej odziewce białej?
Czy nie ziębi ziarna w głębi mróz i wiatr zuchwały?
Piękna ziemio, czy nie ciężko tobie dźwigać złego,
Co nas męczy, i w snach dręczy, i żre do żywego?
Oj, jak tobie ciężko ziemio,
To się rozstąp w bród:
I płomieńmi, co tam drzemią,
Pochłoń złego ród!

Koniec roku!.. Kiedyż smutkom naszym koniec będzie?
Czy w twem oku nowy roku weselsze orędzie?

Czy ty niesiesz karę złemu a dobremu płacę?
Czy w twe wrota ja sierota nie darmo kołacę?
Och, a patrzże roku nowy
Na ten smutny kraj:
Płaczą córki, żebrzą wdowy:
Chwilę szczęścia daj!

Wróć nam, wróć nam roku nowy, dawne szczęścia chwile!
My płaczemy i żebrzemy, ślemy modłów tyle!
Wróć nam wiosnę! A tym braciom z których bluszcz już rośnie,
Niech choć ptaszę śpiewki nasze wydzwoni radośnie!
Wróć n a m szczęście! Niech przepadnie
Ziemi naszej wróg:
A wnet szczęście ś w i a t owładnie,
Dopomoże Bóg!

Grześ z Mogiły.

Dwaj skąpcy.

W jednej wsi było dwu gospodarzy, którzy tylko o płot jeden sąsiadowali ze sobą. Nie mieli oni ani gruntów wielkich, ani ogrodów i sadów, ani bydła dużo; a przecie rozpowiadali o nich ludziska, że mają wiele pieniędzy, i trzymają je gdzieś schowane w garnkach i beczułkach. Nie gadał ta nikt aby oni kradli, rabowali albo choć sami robili pieniądze: ale wszyscy byliby przysięgli, że mają grosza co niemiara.

Osobliwi bo to byli chłopi ci dwaj sąsiedzi! Cały dzień zabita u nich chałupa, że tam nikt nie zajrzał ani ztamtąd nie wyjrzał; nigdy się prawie u nich nic nie gotowało; jak przyszła niedziela, to szedł zawsze jeden do kościoła, ale bosy, w czarnej koszuli, w podartym kożuchu, w słomianej okopciałej kapeluszynie, jeszcze gdzieś od Adama i Ewy, a opasany kawałkiem powroza. Tam się u nich nikt nie pożywił, bo chleb ich to po prostu placek z makucha, wyki i plew jęczmiennych, a strawa na stole, to pożal się Boże! Nie mieli nikogo w chałupie, tylko sobie oba i gotowali i piekli, i tak tylko oba zawsze razem żyli. Jeżli się zdarzyło, że tam zaszedł kto po co, to zaraz odpowiadali:

— My biedacy! My nie mamy z czego żyć, trzeba nam iść pomiędzy ludzi, aby z głodu nie zginąć.

Jak przyszła noc, to cała wieś spała, a oni obaj nie spali, tylko obchodzili zagrody swe do koła, a potem zamykali sień, i w izbinie drzemali aż do rana. Nawet i szczypki nie było u nich w chacie, bo gadali:

— Teraz każde drewienko droższe niż sól, i trudno sobie patyk jaki wyprosić, a kupić nie ma za co.

Jak było żałobne nabożeństwo w kościele, to oni stali między dziadkami; jak dawali we dworze co niedziela jałmużnę dziadkom starym i kalekom, to oni tam szli, a zawsze skuleni i wzdychający, jakby już ginęli. Gdy im kto wypominał, że przecie mają dukaty, to mówili:

— Wolno sobie żartować z biednego bogatym! My nie mamy za co soli kupić, i jemy bez soli; nawet nie mamy za co okien sprawić, to też szmatami i słomą zatykamy okna przed deszczem i wiatrem.

Ale prawdę ludzie mówili, że oni mieli dukaty. Raz w nocy poszli obadwaj sąsiedzi do lasu i tam pod dębem grubym coś kopali; aleć gdy zakopali i mieli odejść, słyszą z dęba z góry jakiś głos:

— O głupcze, głupcze jeden z drugim! Schowaliście dukaty, aby ani sobie ani biednym ludziom nic nie dać, a jeżli jutro rano jeden z was umrze, cóż będzie z jego dukatami?

Na te słowa stanęli obaj skąpcy prawie słupem, i chcieli znowu wykopać dukaty i zabrać. Ale każdy sobie tak myśli i rachuje:

— Jeżeli tamten umrze a ja zostanę, toć ja zabiorę wszystko i będzie dwa kociołki razem.

A ponieważ nie wiedzieli, który z nich umrze, a który zostanie, więc nie chciał jeden drugiemu dać wykopać, i zaczęli się kłócić i bić, i bili się i kłócili prawie do wschodu słonka. Aż tu z poza dęba wychodzi sobie śmierć straszna z kosą, i mówi:

— Żegnajcie się z dukatami! One tu pod dębem zostaną, i ani jednego nie weźmiecie z sobą!

I machnęła kosą po nad ich głowami, aż zadzwoniło, a jeden skąpiec upadł i ani dychnął więcej.

Śmierć sucha i czarna znikła, jeden leży umarły na ziemi, a drugi stoi ledwie żywy i oniemiały. Powoli, powoli przyszedł do pamięci, zaczął patrzyć, czy śmierć nie ruszyła co z kociołka którego', zaczął się uśmiechać, że mu przybył drugi kociołek, ale nagle pomyślał sobie:

— A nuż tu kto przyjdzie i trupa zobaczy, gotów tu co szukać i wybrać moje szczęście całe, na co ja całe życie pracuję i tyle się pocę.

I wziął trupa na plecy, i niósł go daleko od dęba i rzucił na ziemię, a sam wrócił do chałupki.

Już tydzień dobry minął od onej nocy, aż ktoś doniósł do wsi, że w polu leży umarły dziad. Poznali ludzie, co to za jeden, a gdy nie było zaco kupić desek na trumnę, pochowali go z miłosierdzia, a skąpiec żywy i sąsiad dawny nie kazał nawet umarłemu zadzwonić, ani się nie zgłosił, choć zabrał kociołek dukatów, ani nawet za trumną jego nie poszedł. Jeszcze pierwej przetrząsł on całą chałupinę skąpca nieboszczyka, i co tylko było, to zabrał do siebie i wystąpił z żądaniem, żę chałupina do niego należy, mówiąc:

— Nieboszczyk u mnie ciągle przesiadywał, jadł ze mną, pożyczał sobie u mnie wszystkiego, a teraz mnie się należy tyle a tyle — i wyrachował na palcach tyle długu u nieboszczyka, że po sprzedaniu chałupiny jeszcze mu się nie wróciło wszystko.

Ależ wiecie dobrze, że skąpstwo to straszny grzech: bo tu człowiek i sobie i drugim żałuje, a duszęby dał za jednego trojaka. Takie grzechy cierpi nieraz długo pan Jezus, ale też i karze, jeżli nie tu to na tamtym świecie.

Otóż i ów skąpiec poszedł sobie pod dęba popatrzyć, czy tam kociołki są schowane. Zobaczył on ziemię niby poruszoną i tak się przestraszył, że upadł, bo bez dukatów to mu jeno umrzeć!

Aż tu śmierć pokazuje mu się z poza dęba i nuż wywijać nad nim kosą, a on mówi:

— Jeszcze choć dzień pozwól mi przeżyć, bobym chciał

za życia sprzedać chałupinę i graty moje, a potem to tam już mogę umierać.

— Więc śmierć mu na to:

— No dobrze! ale zrób porządek jak się patrzy z temi kociołkami, pamiętaj!

Na tę mowę nastraszył się skąpiec, bo sobie pomyślał: Gotowa mi zabrać kociołki, skoro już wie o nich! Wstał z miejsca, poszedł do chałupiny, sprzedał ją i wtedy legł chory pod ścianą sąsiada. Sąsiad przyprowadził mu księdza, a ksiądz do niego tak mówi:

— Mój człowieku! Ludzie powiadają, że macie dukaty. Radzę wam jeszcze przed śmiercią, abyście to obrócili na coś dobrego. Tyle wdów i sierot jest tu w naszej wsi, dajcie im to, a będą się modlić za was; albo dajcie co na szkołę, bo teraz mamy tu szkołę fundować, a pan Jezus odpłaci to waszej duszy.

A na to skąpiec:

— A gdzież ja mam dukaty, mój jegomość, gdzie! Ot gadają sobie, ta niech gadają zdrowi; jabym sam wziął, gdyby mi kto co podał, bo ot, leżę pod cudzą ścianą!

Więc ksiądz rzecze znowu do skąpca:

— Bójcie się Boga! Tać sprzedaliście dopiero chałupę, to choć te kilka reńskich ofiarujcie na szkołę; jeżeli wyzdrowiejecie, to wam oddam, i sam wam podam kawałek chleba! A z czemże wy staniecie na sądzie bożym?

A skąpiec na to:

— Ja nie mam ani szelążka, co wy chcecie odemnie! — I przewrócił się na bok, bo tu miał zaszyte papierki w koszuli, które wziął dopiero za chałupinę swoją.

A ksiądz pokiwał głową, pokropił go wodą święconą, przeżegnał i odszedł, mówiąc:

— Na sądzie bożym dowiem ja się kiedyś i ty się dowiesz może dziś jeszcze, czy to prawda co mówią ludzie o twych dukatach.

Niezadługo umarł skąpiec, jak mu to śmierć powiedziała. Kociołki zostały w lesie, papierki wziął do trumny, bo go z koszulą starą do trumny włożyli, a pogrzebu nikt nie spra-

wił, tylko ksiądz pokropił i przeżegnał trupa, dzwonek konający brzęknął kilka razy na dzwonicy, trumna stanęła koło grobu, grobarz ją spuścił i przykrył ziemią świętą, a po skąpcach i ich dukatach nie zostało między ludźmi ani dobrego słowa. Tylko sobie we wsi rozpowiadali, że coś w lesie pod wielkim dębem straszy, że stęka, że płacze, że łamie konary, że na tym dębie ani wrona, ani sroka, ani żaden ptak nie siada, ani gniazda nie ściele, że dąb usycha i co rok ma mniej liścia. A za cóżto miałoby straszyć koło onego dęba?

Oto posłuchajcie, co się stało z duszami skąpców.

Rad czy nierad musi każdy zdać rachunek z życia po śmierci; więc i dusza skąpca stanęła przed panem Jezusem, a on Syn Boży tak się do niej odezwie:

— Powiedz duszo coś robiła na ziemi przez pięćdziesiąt lat życia?

Na to zadrzała jak listek dusza skąpca i mówi:

— Zrobiłem majątek: oto zostały dwa kociołki dukatów pod dębem, a szmat papierków jest w trumnie, w dobrym schowku.

Więc pan Jezus rzecze do aniołów:

— Podajcie tu anieli te kociołki i te papierki!

Aż się ucieszyła dusza skąpca, że będzie miała dukaty przy sobie. Ale gdzie tam! Na co innego kazał pan Jezus podać dukaty. Oto stała tam waga, a koło niej stał anioł pilnujący, żeby na włos nie było niesprawiedliwości.

Na jednej ważce był napis: Tu się kładą grzechy każdego człowieka. A na drugiej znowu tak stało: Tu się kładą dobre uczynki każdego człowieka.

Więc też pan Jezus rzecze do aniołów:

— Połóżcie te kociołki i papierki na tę wagę, aby się ta dusza przekonała sprawiedliwie, co ona warta tutaj!

I legły kociołki z papierkami na wadze, a anioł-stróż pilnujący spoglądał uważnie jak skazówka wagi pokazuje; czy na złą, czy na dobrą stronę. A oto poszła do góry waga z pieniędzmi.

Na to pan Jezus odezwie się do duszy:

— Patrzaj, twoje dukaty nie ważą tu ani tyle, ile piórko na ziemi!

A dusza mówi:

— Bo pewnie nie ma nic w kociołkach, a papierki może robaki w grobie zjadły!

Więc na to pan Jezus uczynił surowe oblicze i powie:

— Idź, popatrz i policz, a nie braknie ci tam ani jednego grosza, z tych coś miała na ziemi.

I było tam wszyściuteńko, nawet tak ułożone, jak było pod dębem schowane i do koszuli przyszyte.

Dusza skąpca przelękła i zdziwiła się bardzo mówiąc:

— Jakto być może, żeby dukaty nic a nic nie ważyły? Tażto cięższe od żelaza. Na ziemi to one najwięcej znaczą, a tuby nic nie miały znaczyć i ważyć?

A na te słowa rzeknie Anioł pański:

— Na sądzie bożym to tylko znaczy wiele, co człowiek dobrego zrobi za życia. Majątek sam nic nie waży u nas; u nas wtedy majątek popłaca, jeżli go posiadacz na wszystko dobre obraca.

I w końcu podniósł głos sam pan Jezus sprawiedliwy:

— Oto dałem ci pieniądze, ale tyś je pomnażał lichwą, boś na wysoki procent biednym pożyczał i zdzierałeś ich w najgorszym czasie; tyś skupował zboże i nie dałeś nikomu ziarneczka, lecz trzymałeś do przednowku i wtedyś sprzedawał, a choćby był kto zginął pod twoim progiem z głodu, toś mu nie dał jałmużny darmo; tyś brał łąki i zagonki od biednych za pół darmo, jak oni chcieli u ciebie pożyczyć na podatek lub biedę; tyś brał fanty od ludzi i te przepadały u ciebie, jak termin minął i wiele podobnych grzechów popełniłeś za życia!

A dusza na to rzecze:

— Przecież to na ziemi robią tak prawie wszyscy dziś!

A pan Jezus odpowie:

— Wszyscy ci co tak czynią, staną tu i ich życie zważy się jak twoje. A ponieważ twoje dukaty nie są zebrane miłością; ponieważ dawałem ci tyle razy napomnienie: raz głosem z nieba, drugi raz śmiercią twego wspólnika, trzeci raz znowu chorobą ciężką i przez usta księdza słałem ci napomnienie, a

tyś tego nie słuchał, tylkoś w ziemi zostawił dukaty: to też one nic nie wartają, nic nie zaważą na tej boskiej wadze! I teraz za takie łakomstwo i skąpstwo pójdziesz na pokutę pod tego dęba tak długo, aż się ktoś znajdzie, że odgrzebie te dukaty i zrobi z nich jaki fundusz miłosierny.

A po tych słowach odprowadził anioł duszę na miejsce wyznaczone; i dlatego też uciekają teraz ptaszki ztamtąd, a dąb usycha od płaczu nieszczęśliwej duszy, a Anioł tam stoi na warcie i czeka jej wykupu.

O, sąd to sprawiedliwy, a wy grzesznicy, którzy to słyszycie, czyńcie dobre ofiary z darów bożych, abyście tak nie pokutowali po śmierci, jak ten skąpiec stary!

Ks. Wojciech z Medyki.

Prawdy gospodarskie.

Przez starych gospodarzy na zapytania i odpowiedzi ułożone.

Żeby młodzi tak robili,
Jak to starzy uradzili.

1. Czy może być dobry gnój bez dobrej paszy. — W żaden sposób być nie może.

Jak z samej wody nie nawarzysz piwa,
Tak z lichej paszy tłusty gnój nie bywa.

2. Jaki nawóz trzeba w pole wywozić? — Słomiasty w piaszczystym gruncie suszy rolę, a przegniły nie rozkrusza gliny; więc powiadają starzy:

Na ścisły, gliniasty,
Dobry gnój słomiasty;
A na piaszczysty,
Przegniły maścisty.

3. Jak należy gnojowisko urządzać? —

Obrać na to miejsce suche, osłonięte od południa budynkiem, albo drzewiną, a dla wody deszczowej porobić odcieki, żeby do gnojowiska nie zachodziła; gnój z obory za każdym wyrzuceniem równo układać.

4. Co się jeszcze gospodarzowi na gnój przydać może? Wszystko coby inaczej zmarniało: błoto i śmiecie z podwórza, popiół z ogniska, kępiny i rumowiska.

Spłuczyny i domowe śmiecie,
Na nawóz zdadzą się przecie.

5. Jak się gospodarz powinien obchodzić z gnojem wywiezionym w pole? — Zaraz rozrzucić, niebawem brać pod skibę, osobliwie przegniły, bo marnieje bez przyorki. Dla tego powiadają:

Jak pokryjesz gnojem rolę,
Ładuj zaraz pługi w pole.

6. Czy dobrze jest trzymać na pola gnój długo na kupkach? — Bardzo źle, bo go słońce i wiatry wysuszają.

Gnoju w polu nie przybywa,
Lecz co pacierz to ubywa.

7. Czy gospodarz powinien się starać o osuszanie gruntu mokrego? — Powinien, bo mokra rola chleba nie da.

I pracy człeka tam szkoda,
Gdzie na roli stoi woda.

Ale i to też wielkie marnowanie, kiedy kawał ziemi dla mokrości nic człowiekowi nie przynosi; a dałby dobry urodzaj, byle go jak należy osuszyć.

8. Czy gospodarz powinien, choćby mu z tego nic nie przyszło, pomódz sąsiadowi do odprowadzenia wody? — Powinien, bo zasłania ludzi, bliźnich swoich od straty; z takim też będzie błogosławieństwo Boże.

Kto od szkody chroni braci,
Temu stokroć pan Bóg płaci.

9. Jakie ziarno powinno się brać do siewu? — Celne zdrowe i czyste, czyli sucho zebrane, zdrowo przechowane, dobrze oczyszczone.

10. Jak gospodarz powinien uprawę ugoru prowadzić? — Podorywki nie opóźniać: dalszej órki nie przynaglać; ale z pługiem i radłem iść w pole kiedy chwasty zaczną puszczać.

Jak już zobaczysz rolę zieloną,
Dopiero ruszaj z pługiem i broną.

11. W jakim gruncie siać należy pszenicę? — W żyznym i dobrze uprawnym od dawien dawna, a nigdy w chudym i zaniedbanym.

Pszenny kołacz lepiej smakuje od żytniego chleba; ale też mówi stare przysłowie:

Bez pracy
Nie będzie kołaczy.

12. Na co gospodarz zważać powinien w zasiewie oziminy? — Żeby przed tem rola już uprawiona dobrze się odleżała.

Rola co się odleży
Daje plon jak należy.

13. Co gospodarz po zasiewie oziminy zrobić jeszcze powinien? — Brózdy przeorać, przegon przepędzić aby się woda nigdzie zatrzymać nie mogła.

14. Kiedy najlepiej siać żyto? — Ile możności w porze suchej; dla tego mówią:

Gdy się w zasiewie za broną kurzy,
To przede żniwy żyto się burzy.

15. A czy z wiosennym siewem naglić trzeba? — Osobliwie też z wiosennym, póki rola z wilgoci nie obeschła, mówią też starzy:

Kto siew owsa spieszy
Ten się plonem cieszy.

16. Które zboże z wiosny najprzód się zasiewa? — Jare żyto; bo jarka do siewu szparka.

17. Jak się gospodarz obrządzać powinien z siewem jęczmienia? — Siać go powinien już w rolę dobrze ogrzaną od słońca; dla tego starzy powiadają:

Gdy brzoza pęka a słonko grzeje,
Wtedy się jęczmień najlepiej sieje.

18. Jak często można jedno miejsce grochem obsiewać? — Najwięcej co sześć lat; tak też się i mówi:

Grunt grochowi rad,
Ledwo co sześć lat.

19. Co gospodarz powinien mieć na baczeniu kiedy sadzi ziemniaki? — Żeby grunt był gnojny i dobrze uprawiony;

Grunt jałowy lada jaki,
Liche wydaje ziemniaki.

20. Co gospodazz dobry oprócz zboża i ziemniaków powinien na gruncie zasiewać? — Koniczynę, wykę, trawy i wszystko co na siano przydatne; boć ze słomy podściołka dobra, ale pasza chuda, a z koniczyny i innych traw pasza najprzedniejsza; a przy dobrej paszy to i większa korzyść z dobytku i tłusty gnój.

Kto sieje trawy pastewne,
To się dobrze ma na pewne;
Już tam i lepszy dobytek,
I z roli większy pożytek.

21. Iloraka bywa koniczyna? — Dwojaka: biała i czerwona; biała na pastwisko, czerwona na siano.

22. Kiedy trzeba siać koniczynę? — Na wiosnę w gruncie żyznym i dobrze uprawionym, w jęczmieniu, w owsie, pszenicy a nawet w życie.

23. Czy można koniczynę w pierwszym roku przed zimą kosić lub spasać? — Nie można; bo jak zima nastąpi ostra, to koniczynę wymrozi.

Na zimę z koniczyny,
Jak z dzieciny,
Nie zdejmuj pierzyny.

24. Jak często można jedno miejsce koniczyną obsiewać? — Nigdy prędzej jak co sześć lat, tak samo jak i groch.

25. Jak długo można koniczynę w roli utrzymywać? — Najdłużej lat dwa; a w trzecim roku trzeba ją przeorywać, bo się zaczyna przerzadzać, więc z niej mało pożytku a rola się zachwaszcza.

26. Kiedy się zbiera pierwszy pokos czerwonej koniczyny? — Chcesz siana przedniego, więc skoro się kwiat nieco zaczerwieni, wtedy koniczynę koś a nie dopuszczaj żeby w nasienie poszła.

(Przyjaciel Ludu.)

Wydawca odpowiedzialny za redakcyą: E. Winiarz.